



## **RZECZPOSPOLITA TRZYDZIESTU JĘZYKÓW**

**JACEK BORKOWICZ**

Z nadejściem wiosny, jak zwykle, zaczynam myśleć o wakacjach. Rozkładam mapę: dokąd pojadę w tym roku? Kiedyś, gdy chciałem - wsiadałem po prostu na rower i ruszałem przed siebie. Gdy tylko przyszyły pierwsze roztopy, moje wakacje zaczynały się zaraz za domem. Już po kilkunastu minutach ostrego pedałowania wyjeżdżałem spomiędzy sosen rodzinnego Józefowa, docierając do porośniętych wiekowymi dębami meandrów rzeczki Mieni. Po kilku godzinach jazdy mogłem już cieszyć się urokami Podlasia. Jeśli wyjechałem rano, wieczorem rozkładałem śpiwór w mazurskich lasach.

Do tych wspomnień dołączają inne, wcześniejsze, z czasów, gdy na wakacje zabierali mnie rodzice. Trudno je wyrazić, za to silnie tkwią w pamięci zmysłów. Pierwszy zapach siana, pierwszy widok morza, pierwszy dźwięk ligawki, niosący się tuż nad polami kurpiowskich wiosek w mroźny adwentowy wieczór, pierwszy dotyk spotniałej końskiej skóry, pierwszy smak owczego sera - prosto z góralskiej wędzarni.

W tle tych obrazów z dzieciństwa i wczesnej młodości prawie zawsze widoczni są jacyś ludzie, fascynujący swoją innością. Jak choćby ten chłopak z nagonki na polowaniu pod Ostrołęką, biegający w butach wyściełanych słomą. Mimo ostrej zimy, między przykrótkimi portkami a niskimi cholewkami widniały mu zsiniałe przeguby nóg, których nie zdołały zakryć słomiane wiechcie. Był początek lat siedemdziesiątych, epoka gierkowskiego dobrobytu właściwie jeszcze się nie rozpoczęła, jednak takich rzeczy nie widziało się już wtedy ani w mieście, ani prawie nigdzie na wsi. Przez moment poczułem, że cofam się w epokę znaną mi dotąd tylko z obrazów Fałata. Patrząc na te bose, okręcone słomą stopy, czułem się

poruszony, bardziej niż gdybym zobaczył nagle przed sobą kosyniera w krakusce z pawim piórem. Było w nich coś prawdziwego, nie czułem tu żadnej "cepelii".

Mój dziadek, po wojnie wiejski nauczyciel, mieszkał jakiś czas w Ceranowie na Podlasiu. Pewnego dnia lotem błyskawicy rozniosła się po wiosce wiadomość: biją się w Kosowie! Nie chodziło przecież o Jugosławię, ale o Kosów Lacki, czyli najbliższą stację kolejową. Ceranowiacy rozmawiający o tej miejscowości mówili po prostu "na kolei". Kto z kim się bije i o co, tego nikt dokładnie nie wiedział. Niebawem jednak wszystko się wyjaśniło: biją się, to prawda, ale nie "na kolei", tylko w Korei - był czerwiec 1950 roku, w Kraju świeżości Poranka czerwoni zaatakowali właśnie południową, wolną od komunizmu część półwyspu. O tym wszystkim nic nie wiedzano w Ceranowie. Ktoś tam usłyszał po raz pierwszy nieznane słowo, ktoś inny je przekręcił i puścił dalej. Historię tę znam od ojca, który był jej świadkiem jako siedemnastoletni chłopak.

Dziś, w epoce wszechobecnej telewizji, coś podobnego nie mogłoby się wydarzyć, a przecież działo się to tak niedawno! Pomyślmy: nawet za życia naszych rodziców duża część mieszkańców Polski była właściwie odcięta od wiadomości ze świata. Bo niby jak miał się ich dowiadywać chłop, pozbawiony telewizora, radia i nie czytający gazet? Jak przed wiekami, podstawowym źródłem informacji "z daleka" ciągle jeszcze był dla niego jarmark w pobliskim miasteczku.

Chłopi, których pamiętam z wakacji, wiedzieli już więcej o świecie, pozostawali dla mnie jednak ludźmi egzotycznymi. Czy to na Kurpiach, czy na Kaszubach, na Podhalu czy pod Sejnami, prawie wszędzie wychwytywałem w ich mowie jakieś obce dla mnie tony, twarde dla ucha, lub przeciwnie - bardziej miękkie i rozlewne, w każdym razie z pewnością inne od tych, w których zanurzałem się na co dzień w moim podwarszawskim miasteczku. Najbardziej lubiłem, gdy mówili między sobą w zupełnie nie znanym mi języku, a ja obserwowałem ich nieco z boku, domyślając się jedynie tematu pogawędki. Czułem wtedy, że stoję w jakimś zaczarowanym kręgu, oddzielającym mnie od szarej peerelowskiej rzeczywistości.

Z czasem, gdy mogłem już używać roweru, wyruszałem sam na poszukiwanie takich zaczarowanych miejsc. Zdarzało się przecież, że niespodziewanie odnajdywałem je tuż pod nosem, nieomal nie ruszając się z domu. Kiedyś trafiło mi się to w samym centrum Warszawy, gdy na zapleczu Teatru Żydowskiego, tam gdzie stoi dziś odbudowana synagoga Nożyków, błądziłem w poszukiwaniu redakcji „Fołks Sztyme”. W plątaniu schodów i ciasnych korytarzy starej kamienicy cudem ocalałej w wojennej zagładzie miasta, natrafiłem nagle na zawalony papierami pokój w którym pomarszczony rudy Izraelita w czapce z daszkiem wystukiwał hebrajskie litery jakiegoś tekstu na przedpotopowej maszynie do pisania. Na moje pytanie o drogę mruknął coś gardłowym akcentem, nie odwracając głowy. Byłem pewien, że ten stary Żyd zabłąkał się tu z całkiem innej epoki, spóźnił się pewnie z przepisaniem antycarskiej ulotki "Bundu" na manifestację na sąsiednim placu Grzybowskim i być może nawet nie zauważył, że minęły dwie wojny światowe, a wokół niego, w dwóch powstaniach, zawałała się w gruzy jego „Warsze”, czyli Warszawa.

Kiedy rozejrzałem się już nieco po Polsce i dowiedziałem się trochę o świecie, spostrzegłem, że żyję w kraju wielu pejzaży. Jak wiele tonów dzieli cynober ceglanych kościołów Gdańska od błękitu ściany łemkowskiej chaty! W książkach szukałem odpowiedzi na pytanie, skąd taka różnorodność na obszarze jednego, niezbyt przecież wielkiego kraju. Lektury przynosiły wiedzę, potwierdzały intuicję. To, co oglądałem na wakacyjnych szlakach, było tylko resztówką niegdysiejszej większej całości. W mojej wyobraźni powoli powstawał obraz państwa - mozaiki kultur, wiar i języków, któremu położyły kres rozbiory.

Myślę, że wielu z nas w podobny sposób uczyło się ojczyściej historii. Wizerunek dawnej Rzeczypospolitej, jaki nosimy w sobie od czasów kajakowych wypraw na Suwalszczyznę i lektury Sienkiewicza, jest jednak nieco rozmazany. Jego "ogólnokresowy", sentymentalny nastrój mieści w sobie bezładnie pomieszane egzotyczne nazwy i pojęcia. Wszystko razem jest dość niekonkretne, a przez to jakby trochę banalne. W pewnej poważnej gazecie, w artykule pewnego wybitnego pisarza (przez miłosierdzie pomińmy tytuł i nazwisko) znalazłem kiedyś passus: „(...) Z Podola, już od I zaboru znajdującego się w granicach

rosyjskiego imperium. Metropolią tych ziem był Kijów, a miasteczka rozrzucone w stepach i jarach, nad Dnieprem i jego dopływami, przechowały w swej pamięci siczowych Kozaków, atamanów Doroszeńkę, Nalewajkę i Słobodę, hajdamackie bunty żeleźniaka i Gonty (...). Wystarczy: w tych dwóch zdaniach zmieściło się pięć błędów. W dodatku nikt ich nie sprostował, bo mało kto odróżnia dziś w Polsce Dniepr od Dniestru, nie mówiąc już o różnicy między słobodą a Łobodą.

Nic dziwnego - dorasta już przecież trzecie pokolenie Polaków nie pamiętających nawet kresów wschodnich, które pozwalały poznać namiastkę klimatu dawnej, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Czy potrafilibyśmy odpowiedzieć na proste, wydawałoby się, pytanie: iloma językami mówili jej mieszkańcy? Większość z nas odpowiedziałaby zapewne, że w państwie Obojga Narodów mówiono po polsku, litewsku, białorusku i ukraińsku, bardziej świadomi dodadzą jeszcze niemiecki, może łotewski i estoński w Inflantach. Może jeszcze żydowski. To na razie osiem. Już to pobieżne wyliczenie jest dowodem, iż nie przesadzamy, mówiąc o mozaice. Gdy przyjrzymy się bliżej, przekonamy się, że jest znacznie bogatsza. Także trudniejsza do opisanania. Nie chodzi nawet o liczbę "kamyków", ale o to, że oglądany przez nas z bliska obraz pełen jest kolorów cieniowanych, zacierających granice pomiędzy kontrastującymi barwami. W czasach pierwszej Rzeczypospolitej języki, w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, dopiero się kształtowały. Każda okolica i każdy powiat używały innej odmiany lokalnego dialektu; stąd historyczne klasyfikacje językowe mają na ogół charakter umowy. Trudno bowiem o obiektywną ocenę, co już jest językiem, a co jeszcze dialektem - podobnie; jak niemożliwe jest czasem bezsporne ustalenie, gdzie kończy się jeden język, a zaczyna drugi.

Mimo tych trudności spróbujmy rachunku. Wbrew potocznym poglądom zasadne jest mówienie o języku kaszubskim. Jego odrębność od polszczyzny poświadcza już rękopiśmienne źródło z początku XV w. Późniejszy rozwój literacki Kaszubszczyzny tylko potwierdza tę ocenę. Tym, którzy upierają się przy określaniu mowy Kaszubów jako dialektu,

można powiedzieć, że jest ona z pewnością mniej podobna do polskiego niż, na przykład, flamandzki do holenderskiego - a przecież nikt nie kwestionuje statusu języka flamandzkiego.

Na pomorskich obszarach Rzeczypospolitej wiejska ludność niemiecka, a także proletariats w miastach, używały w większości „plattdeutsch”, dolnoniemieckiego dialektu - a właściwie języka, bo przecież posiada on własną bogatą literaturę! - pośredniego w brzmieniu między dzisiejszym niemieckim językiem literackim a mową mieszkańców Niderlandów. Gdański patrycjusz mówił więc faktycznie zupełnie inaczej niż handlarka na targu rybnym albo zamożny chłop z żuław. Dolnoniemiecki przetrwał do czasów współczesnych - oczywiście, już nie w Polsce, lecz w północnych landach RFN.

Być może mowa Żmudzinów, którą znamy dziś jako dialekt używany w zachodniej części Litwy, we wczesnych wiekach istnienia Rzeczypospolitej różniła się dość znacznie od litewskiego z okolic Wilna. Podobnie z językiem kurońskim, pokrewnym litewskiemu, który w czasach Unii Lubelskiej był już w zaniku w zachodniej Kurlandii i Żmudzi. Przetrwał tylko w Prusach Książęcych na Mierzei Kurońskiej (późniejsze Prusy Wschodnie). Gdy kilka lat temu przejeżdżałem przez tamte okolice, w położonej na litewskim odcinku Mierzei wiosce Nida żyła jeszcze kobieta znająca ten język. Była to prawdopodobnie ostatnia osoba na świecie mówiąca po kurońsku.

Podział Inflant na część polską i szwedzką, dokonany w 1629 roku, sprzyjał wyodrębnianiu się na obszarach polskich dialektu łatgalskiego, który z czasem stał się odmiennym językiem od łotewskiego. Mówi się nim dziś w okolicach Dyneburga (Daugavpils) i Rzeżycy (Rezekne). Polskie panowanie nad tą ziemią przesądziło o katolickim obliczu łatgalii, podczas gdy na pozostałych terenach łotwy zdecydowanie przeważali protestanci-luteranie.

Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu, jakoby Prusowie wytępieni zostali przez Krzyżaków, właśnie w czasach krzyżackich ludność pruska, aczkolwiek w niewoli, była liczniejsza niż w epoce pogańskiej. Mimo to w końcu uległa wynarodowieniu, choć bynajmniej nie z winy Zakonu, który na bursztynowym wybrzeżu Bałtyku przeszedł do historii

wcześniej niż rodzima ludność tej krainy. W encyklopediach można znaleźć wzmiankę, że język Prusów wymarł w XVI wieku. Bardziej szczegółowe opracowania informują nas, że stało się to sto lat później. Prawdopodobnie jednak język pruski dogorywał jeszcze w zapomnieniu przez całe stulecie i ostatecznie zszedł ze świata mniej więcej wtedy, gdy trzej zaborcy wymazywali z mapy Polskę. Stało się to nie na owianej legendami Sambii, lecz niedaleko warmińskiego Olsztyna, pod Biskupcem. Świadczą o tym archiwalia, opublikowane przed wojną przez niemieckiego językoznawcę Georga Gerullisa. Mimo to w nauce do dziś obowiązuje opinia siedemnastowiecznego historyka Krzysztofa Hartknocha, opisującego wymieranie pruszczyzny w czasach mu współczesnych. Jednak relacja Hartknocha dotyczy okolic Królewca. On sam skądinąd wychował się w nie tak dalekim od Biskupca Pasymiu, jednak nic nie wspomina o jakichkolwiek Prusach w swoich rodzinnych okolicach. Może uczony profesor przedkładał wiedzę książkową nad autopsję?

Prawie nic nie wiemy o mowie Jadźwingów. Wiadomy tylko, że różniła się ona zarówno od języka Prusów, jak i Litwinów. Ten niepokorny lud rozproszył się pod koncentrycznym uderzeniem żelaznej krzyżackiej pięści i mazowieckiego topora. Część rozbitków uciekła na południowy wschód, na Podlesie i dalej, na tereny położone pomiędzy Niemnem a Prypecią. Potomkowie zbiegłych wojowników żyli w trudno dostępnych leśnych uroczysskach, izolując się od otoczenia, dlatego też dość długo przetrwało w tamtych stronach pogaństwo. W cerkwi w Skidlu niedaleko Grodna jeszcze na początku XIX w. można było oglądać belkę z wyrżniętym na niej napisem cyrylicą mówiącym, że w 1553 r. chrzczono tutaj pogan Jadźwieżow. Przetrwał także ich język. Przeczytałem kiedyś w starej historii polskich protestantów, że w 1633 r. patron "zboru helweckiego" (ewangelicy reformowani) w Świsłoczy - która dziś leży na Białorusi, tuż za polską granicą - prosił władze kościelne o przysłanie pastora znającego język litewski. Byłem zaintrygowany-na tych terenach nigdy nie było Litwinów. Patron świątyni zatroszczył się widać o dusze pokrewnych im mową Jadźwingów, żyjących w ostępach nieodległej Puszczy Białowieskiej. Jeśli istotnie dotarł do nich pastor, był on prawdopodobnie pierwszym duchownym chrześcijańskim, który postawił stopę w tej dzikiej okolicy.

Kilka lat temu sensację wśród językoznawców - bałtystów wywołało znalezienie słowniczka polsko-jadźwieskiego. Cała historia brzmi dość fantastycznie, jednak jej prawdziwość potwierdzają autorytety naukowe. Młody mieszkaniec Brześcia nad Bugiem kupił rękopis od chłopa z Puszczy Białowieskiej, ale do rąk uczonych dotarł jedynie zeszyt z odpisem-oryginałem rozpałała w piecu matka odkrywcy. Jeśli był to rzeczywiście zbiór słów jadźwieskich, mógł on pochodzić z XVII lub nawet XVIII stulecia.

Uzupełniając obraz dawnych północnych kresów przypomnę, że mówiono tam również po rosyjsku. Język ten bynajmniej nie zadomowił się u nas dopiero w czasach zaborów: w rzeczywistości rozpowszechnił się pod koniec XVII w. na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, wraz z przybyciem w jej granice starowierców, religijnych uchodźców z państwa moskiewskiego. Do kompletu dodajmy jeszcze: karaimski, język z grupy tureckiej, obecny w Wielkim Księstwie Litewskim od czasów Witolda.

Gwoli ścisłości tylko powiem, że estońskim posługiwano się właściwie nie u nas, lecz w szwedzkiej części Inflant. W polskiej, wokół Dorpatu, a także w północnej Kurlandii mówiono po liwsku, czyli językiem podobnym, choć niewątpliwie różnym od estońskiego.

Przenieśmy się teraz na południe, na Ukrainę, Podole i Dzikie Pola. Tutaj dopiero mamy prawdziwą wieżę Babel! Pomiędzy Ukraińców, Polaków i Żydów - o których już wiemy - idźmy od razu dalej. Koczujący w stepach poganie mówią rozlicznymi odmianami tatarskiego. Docierają tu Nogaje i Kałmucy. W miastach kupiecka pstrokaczna handluje po ormiańsku, grecku i persku, z pewnością używa też tureckiego. W podolskich jarach czają się...

„Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęta wołać:

- Czeremis! Huku! Huku! Czeremis!”

Wielu czytelników „Ogniem i mieczem” z pewnością zastanawiało się, kto to taki, tym bardziej że hasła "Czeremisi" nie można odnaleźć we współczesnych encyklopediach. Tym mianem określano dawniej mieszkańców dzisiejszej republiki Mari, położonej na lewym

brzegu środkowej Wołgi i będącej częścią Federacji Rosyjskiej. Mowa Czeremisów należy do fińskiej grupy językowej, podobnie jak estoński i liwski. Ten bitny naród po wcieleniu go do Rosji sprawiał carom wiele kłopotów. Opór Czeremisów przeciwko rusyfikacji wyrażał się w ich upartym obstawaniu przy pogańskich wierzeniach - próby ich ochrzczenia, podejmowane przez Cerkiew, okazywały się nieskuteczne. W 1611 r. zaczęto wcielać ich przemocą do pospolitego ruszenia, które miało odbijać Kreml zajęty przez żołnierzy żółkiewskiego. Odtąd wysyłano ich regularnie na wojnę z Polską. Wielu zbiegło z tej nie chcianej wojaczki i osiedliło się na ziemi "wroga", czyli w Rzeczypospolitej.

Niestety, na naszej liście nie znajdują się Czerkiesi. Ich mowa zapewne wygasła nad Dnieprem, zanim ziemie ukraińskie stały się częścią państwa polsko-litewskiego. Ten kaukaski naród zawsze wydawał doskonałych wojowników. Dlatego w średniowieczu czerkiescy niewolnicy, dostarczani nad Nil przez Kaffę na Krymie na statkach kupców genueńskich, byli zawsze w cenie. Tak bardzo, że w końcu przejęli panowanie nad Egiptem zakładając tam dynastię Mameluków, która z różnymi perypetiami utrzymała się aż do czasu wojen napoleońskich. Genueński handel Czerkiesami nie podobał się papieżom, gdyż na służbę sułtańską dostawało się w ten sposób wielu kaukaskich chrześcijan. Dbali o zyski kupcy poszli na kompromis: chrześcijańskich niewolników pytano więc w Kaffie, czy godzą się na przyjęcie islamu. Wielu potakiwało, gdyż służba w Egipcie czy Syrii była prostą drogą do kariery. Odmawiających sprzedawano w krajach chrześcijańskich.

W Karpatach gdzieś do XVII wieku pasterze mówili przeważnie po wołosku (dziś powiedzielibyśmy: już rumuńsku). Wpływy wołoskie do dziś są widoczne w gwarze Hucułów. Na Spiszu posłuj no się słowackim. Znano węgierski.

W zachodniej Polsce osiedliła się w XVI w. wspólnota religijna Braci Czeskich, przynosząc do nas język południowego sąsiada.

Nad dolną Wisłą, na Żuławach rozsiedli się licznie inni religijni wygnańcy, mennonicy. Część z nich do końca istnienia Rzeczypospolitej zachowała swój język, a może języki, gdyż wychodźcy



z Niderlandów mówili po holendersku i fryzyjsku. Po zagarnięciu przez króla Prus żyznych ziem delty Wisły, nowe władze za pozbawiać ich dawnych wolności. Część mennonitów opuściła Żuławy i osiedliła się w państwie carów. Przez kilkadziesiąt lat udzielała im schronienia naddnieprzańska wyspa Chortyca, d. siedziba pierwszej Siczy Kozaków Zaporoskich. Jednak gdy w połowie ubiegłego stulecia rosyjska administracja, wbrew wieczystym obietnicom złożonym pierwszym osadnikom przez carycę Katarzynę, objęła ich obowiązkiem służby wojskowej, mennonici - którym wiara zabraniała stosowania przemocy - wynieśli się do Ameryki. Przed kilkoma laty Arnold Leheuf odkrył ich potomków w buszu meksykańskiego Jukatana, dokąd dotarli w swej transkontynentalnej wędrówce, znaczonej kilkoma etapami osiedlenia, między innymi w Kanadzie. „Polska może być dumna” - stwierdził po powrocie z tropików ten mieszkający w naszym kraju Francuz – „że pozwoliła niegdyś tym ptakom uwieść gniazda na swojej ziemi i rozmnażać się aż do chwili, kiedy stracili możliwość ich ochrony”.

"Polscy" mennonici nie pamiętają już, skąd przybyli. Nadal jednak zachowują tożsamość, żyjąc we własnym świecie, którego zasady wyznacza Biblia i katechizm. Osiedlają się całymi wioskami w odludnych i dzikich okolicach. Gdy jeżdżą po zakupy do najbliższego miasteczka, bez trudu można ich rozpoznać po szerokich kapeluszach mężczyzn i długich spódnicach kobiet. Obyczajem bliscy są znanym lepiej amiszom z Pensylwanii; jednych i drugich łączy zresztą pokrewieństwo doktrynalne.

Zwolenników integracji ze: Wspólnotą Europejską z pewnością zainteresuje fakt, że mieliśmy też wcale liczne kolonie kupców z Anglii i Szkocji. Elbląg za panowania Zygmunta III - który to bynajmniej nie był takim fanatykiem, jak to się dziś na ogół razem bezrefleksyjnie przyjmuje - stał się w pewnej mierze miastem angielskim, przynajmniej jeśli chodzi o skład etniczny najbogatszej klasy jego mieszkańców. Przybysze zza Morza Północnego mówili po angielsku i szkocku (chodzi tu o "angielski szkocki", czyli „lallans”).

Między Oświęcimiem a Bielskiem, lecz nieco na uboczu od głównej drogi, leży miasteczko Wilamowice. Nie wspominają o nim przewodniki; istotnie - na pozór nie ma tu nic

przyciągającego uwagę turysty: ani wspaniałych średniowiecznych kościołów, ani malowniczego czego krajobrazu. Naprawdę jednak Wilamowice są niesamowitą atrakcją dla koneserów małych, ginących światów. Mieszkańcy miasteczka (niestety, już tylko starsi) mówią bowiem między sobą niezrozumiałym dla sąsiadów językiem, który sami nazywają wymsojerisz, zaś na użytek otoczenia - wilamowskim. Ich przodkowie byli tu w XIII wieku z Flandrii, a może z Brabancji. Ich mowa w ciągu siedmiuset lat nasiąkła słowiańską miękkością, ale przetrwała, jako wyjątkowy dziś na terenie środkowej Europy przykład żywego języka średniowiecznych germańskich osadników. Niewątpliwie wpłynęła, na to okoliczność, że miasteczko leży z boku od traktów handlowych, szlaków łączności i komunikacji. Wilamowiczanie aż do wybuchu II wojny światowej byli grupą izolowaną - ich dzieci aż do osiągnięcia wieku szkolnego nie umiały mówić po polsku. A nie są to żadne kresy, lecz serce historycznej Małopolski, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa! Wilamowiczanie są przecież z dziada pradziada Polakami, chociaż hitlerowcy bardzo chcieli zrobić z nich Niemców. Obok języka, pielęgnują też dość starannie lokalne zwyczaje - rzecz w dzisiejszej Polsce bardzo rzadka. Najlepiej przyjechać tu na święto Bożego Ciała, kiedy miasteczko mieni się kolorami wilamowickich strojów. Być może to właśnie założyciele Wilamowic uprowadzili u nas zwyczaj obchodzenia tych procesji.

Jak dotąd chyba żaden z wielbicieli wielojęzycznej Rzeczypospolitej nie reklamował nam tego miasteczka. Być może dlatego, że nowa Wilamowiczanie przypomina niekiedy niemczyznę, niezbyt lubianą przez patriotycznych nadgorliwców. Jeszcze większą sensacją jest uznany całkiem niedawno fakt, że wilamowicki okazuje się być językiem literackim. Stało się to dzięki nadurzędnikowi cesarsko-królewskiej kolei żelaznej, mieszkającemu zresztą w Trieście nad Adriatykiem. Będąc rodem z Wilamowic, Florian Biesik mówił po polsku, za biurkiem posługiwał się niemieckim i włoskim, jednak nigdy nie zapomniał mowy dzieciństwa. Jego poemat „Of jer wełt” („Na tamtym świecie”, nazwany przez znawców literatury małą „Boską komedią”, stanowi pomnik kultury wspólnoty nie przekraczającej liczebnością dwóch tysięcy osób.

Jeśli nie zapomnimy o mowie Cyganów, naszą listę chyba można będzie zamknąć. Nie liczymy tu cudzoziemców, owych tysięcy 'Francuzów, Włochów, Hiszpanów i wielu innych, którzy jednak en masse w Polsce nie osiedli. Pomijamy pułki najemników, w szeregach których brzmiały języki wszystkich bez mała narodów Europy, począwszy od węgierskiego, skończywszy zaś na celtyckim gaelicu Irlandczyków. Nie bierzemy wreszcie pod uwagę łaciny, choć czytając epistoły i oracje epoki baroku ma się niekiedy wrażenie, że była ona naprawdę drugim językiem ojczystym niejednego Polaka. Nie wspominamy żadnej z arcyciekawych gwar małych miasteczek, opanowanych przez mistrzów jakiegoś oryginalnego, nie uprawianego gdzie indziej rzemiosła - były to hermetyczne języki zawodowe, ułatwiające zachowanie przed postronnymi tajemnic produkcji i handlu. Gdybyśmy byli przesadnie dokładni, nasze wyliczenie powinno było skończyć się na Murzynach, których sprowadzano do nas dla uciechy magnatów. Ale jakim językiem mówili między sobą ci biedacy, marznąc gdzieś w nie opalanym pałacu na Litwie - Bóg raczy wiedzieć...

Policzmy teraz, starając się zachować powściągliwość: polski, litewski, białoruski, ukraiński, niemiecki, łotewski, litewski, żydowski, kaszubski, kuroński, pruski, rosyjski, karaimski, tatarski, ormiański, grecki, perski, mari, wołoski, słowacki, czeski, holenderski (fryzyjski?), angielski, szkocki, cygański - to ponad dwadzieścia języków. Przy odrobinie uporczywości można doliczyć się trzydziestu. Nie chodzi tu jednak o magię liczb ani o bicie rekordów. Wydaje się, że nawet ten pobieżny przegląd daje pewne wyobrażenie o tym, czym była Rzeczpospolita w czasach świetności. A była ona czymś więcej niż państwem - była małą cywilizacją. Przed trzystu pięćdziesięciu laty poważna - nie liczbą, lecz znaczeniem - część obywateli tego kraju składała się z osiedleńców z wyboru. Podobnie, jak później w Stanach Zjednoczonych ci, którzy przybyli tutaj z różnych krajów Europy i Azji pragnęli żyć tak, jak nie było im dane w starej ojczyźnie. Polska sto lat później to już inny kraj. Bardziej zamknięty i nieprzystępny, raczej zniechęcający cudzoziemców. Tolerancyjna Rzeczpospolita Wielu Narodów, o której mówimy, to jeszcze państwo Władysława IV, ale już nie saskich Augustów. Wielkości państwa Wazów nie oddaje swojski i zamglony konterfekt epoki przedrozbiorowej, jaki pozostawiła nam w spadku romantyczna literatura.

Już zatem nasi pradziadowie, żyjący pod zaborami, lecz mogący jeszcze na własne oczy oglądać stepy Ukrainy, błota Polesia, górę zamkową w Nowogródku i święte dęby na Żmudzi, nie mogli wyobrazić sobie dokładnie tamtego utraconego raj. Jeśli wiedzieli o nim coś niecoś, to tylko dzięki przyswojeniu genialnej wyobraźni Sienkiewicza. Jednak nawet świat przedstawiony w „Trylogii” nie był już tym, o którym mówimy. W książkach, pisanych "dla pokrzepienia serc", blask Najjaśniejszej jest już mocno przyćmiony przez czarny dym wojen i domowych zamieszek.

Dzieci i wnuki pierwszych czytelników „Potopu” - czyli obywatele Polski międzywojennej - mogły obserwować zaledwie słabe odbicie tamtego odległego światła.

Moje pokolenie stało się świadkiem dogasania pojedynczych iskierek. W 1976 roku, gdy jako długowłosa nastolatek na rowerowym szlaku ku jeziorom przejeżdżałem przez Wielbark, "wytykali" stamtąd ostatni Mazurzy. Niedługo potem znalazłem się w towarzystwie ostatnich mniszek staro obrzędowego skitu w Wojnowie. W połowie lat osiemdziesiątych w Zakliczynie, małopolskim miasteczku z barokowym klasztorem reformatów i drewnianymi, podcieniowymi domami przy rynku, odszedł na emeryturę ostatni z polskich "głosicieli", którzy od wieków na placach „naszych” miasteczek bili w bębny i odczytywali zgromadzonym urzędowe komunikaty. W czerwcu 1990 roku, gdy zwiedzałem okolice Grodna, w zaścianku Bohatyrowicze nad Niemnem dożywał ostatnich dni sędziwy Stanisław Bohatyrowicz, który pamiętał Elizę Orzeszkową. Do przybywających doń zza nieodległej granicy Polaków zwracał się; „Pociesz mnie, mówiąc o Ojczyźnie...” W grudniu 1995 roku odszedł do Najwyższego Szmuel Roth z Dąbrowy Tarnowskiej, ostatni w Polsce żyd ze „szteł”, czyli z małego miasteczka.

Prawie w każdym z powyższych zdań odmienia się słowo "ostatni". Nie zauważyliśmy, jak bardzo zmienił się świat za naszego życia. A nie są to zmiany zwyczajne, będące udziałem każdego pokolenia. Na naszych oczach odchodzą w przeszłość ostatnie małe światy, z jakich od niepamiętnych czasów składała się ludzka społeczność. Po raz pierwszy w historii możemy mówić o jednej, naprawdę powszechnej cywilizacji, która objęła już prawie całą kulę

ziemską. Jej granice są tam, dokąd sięga międzynarodowa łączność i komunikacja. W XIX wieku jej forpocztą stały się drewniane słupy telegrafu. W sto lat później szosa, która przebiła na wskroś tropikalne lasy Brazylii, przyłączyła do naszego imperium niepodległych dotąd, bo nieznanych światu Indian amazońskich. Dziś telewizja satelitarna błyskawicznie przekazuje nam obrazy z najodleglejszych zakątków globu, znikają więc ostatnie mateczniki Nieznanego. Gdy w listopadzie 1995 roku dotarłem do Hinalug, pozornie odciętej od świata osady w samym sercu największej partii gór Kaukazu, w każdym spośród przypominających jaskółcze gniazda kamiennym domów sadzano mnie gościnnie naprzeciw ekranu telewizora. Okazało się, że cztery lata wcześniej osada, do której nie ma żadnej drogi, zafundowała sobie zbiorczą antenę satelitarną. Wieczorami kaukascy gazdowie, razem z żonami i dziećmi, siadają w kucki pod tkanymi ręcznie kolorowymi kilimami i pijąc herbatę oglądają moskiewski program ORT-1. Na ogół nie rozumieją po rosyjsku, więc wystarczają im obrazki. Patrzą na egzotyczny świat ludzi w krawatach zupełnie tak jak my, gdy po powrocie z pracy, jedząc kolację, patrzymy na reportaż z wioski ludożerców.

Oszołomieni barwną egzotyką wdzierającą się do naszych mieszkań, nie zdajemy sobie sprawy, że każde dotknięcie nowych miejsc okiem kamery oznacza początek ich nieodwołalnej aneksji. Sto lat temu w rozmaitych zakamarkach Europy, wszędzie tam, gdzie docierały koleje, w błyskawicznym tempie znikaly stroje miejscowego ludu, który ujednolicał się wyglądem zewnętrznym z obywatelami wielkich miast. A jednolicenie ubioru zawsze jest znakiem jednolicenia świadomości. Dzisiaj przyjaciel antykwariusz po powrocie z Nepalu opowiada mi, jak pod wpływem kontaktów z zachodnimi turystami prości, bogobojni wieśniacy zmieniają się w wulgarnych łowców dolarów. Nawet na bazarach Lhasy, stolicy podniebnego i niedostępnego Tybetu, już na początku lat dziewięćdziesiątych najlepiej sprzedającym się towarem były kasety z piosenkami Madonny i rockowych kapel z Tajwanu. Uniwersalna Cywilizacja rozszerza się jak wymyślone przez Jurka Owsiaka Towarzystwo Przyjaciół Chińskich Ręczników: jej członkiem staje się każdy, kto tylko o niej usłyszał.

Kilka lat temu trzech studenci z Poznania, wspaniałe chłopaki, dokonali rzeczy prawie już niemożliwej: dotarli do ludzi nie znających białego człowieka. Zaszyci w górach indonezyjskiej

części Nowej Gwinei, oglądając i fotografując upstrzonych papuzimi piórami Papuasów, zaznali ekskluzywnej rozkoszy, niedostępnej dziś nawet miliarddom. Takiego doznania nie da się jednak powtórzyć. Dotknięcie Nieznanego powoduje, że inny świat natychmiast ulatnia się jak czarodziejski sen. Chłopcy szczęśliwie wrócili do Poznania, za to dzicy umieją już obchodzić się z zapalniczką i wędrują po górach w koszulkach z nadrukiem Crunchips i Lech. Ceną ekskluzywnej przyjemności jest morderstwo, dokonane na dziewiczej egzotyce.

Nieznanne światy na ogół wcale się przed tym nie bronią. Ich jedyną ochroną jest niedostępność terenu - wraz z postępem cywilizacji technicznej coraz bardziej względna. Jeśli już stawiają opór, to raczej z nieświadomości. W połowie lat pięćdziesiątych, niedługo potem jak asfaltowa szosa połączyła ze stolicą Meksyku odległy i zapomniany dotąd stan Chiapas, pojawili się tam pierwsi turyści. Pewien niemiecki malarz i poszukiwacz pejzaży wybrał się samotnie w góry. Po kilku tygodniach ekspedycja śledcza odkopła jego ciało w jednej z indiańskich wiosek. Chłopi zabili go ze strachu myśląc, że to diabeł: Niemiec był rudy i lekko kulawy, więc chodził o lasce. Władze wytłumaczyły więc wieśniakom, co to jest zachodnia cywilizacja. Następni turyści już nie budzili tam przerażenia.

Mimo krzykliwej afirmacji uciech, jakie daje uczestnictwo w Uniwersalnej Wspólnocie, życie wewnątrz niej stało się monotonne. Nawet ucieczka na antypody nie przenosi nas w inny świat. Dziś pod każdą szerokością geograficzną spotykamy takich samych ludzi. Kiedyś długie wyprawy przenosiły nas do odległych cywilizacji, ale właściwie nie musiało się wcale jechać daleko, by poznać smak nieznanego świata. Żyłoby się wówczas niekoniecznie ciekawiej, ale na pewno ciekawiej się podróżowało.

Może więc warto starać się chronić jak najdłużej to, co pozostało nam jeszcze z dawnego mikrokosmosu? Ludzie bronią ginących gatunków zwierząt, lecz kto ochroni ginące gatunki ludzi?

Od sześciuset lat europejscy kronikarze skrupulatnie odnotowują daty zgonów ostatnich przedstawicieli jakiegoś dziwnego i mało znanego języka. Takie metryki wystawiane są dość

regularnie co kilkadziesiąt lat, z pewnym zagęszczeniem w okresach przełomowych, nacechowanych piętnem wojen, morowych zaraz i rewolucji.

Na zachodnim krańcu Wielkiej Brytanii, u skraju wrzynającego się głęboko w Atlantycką Półwyspu Kornwalijskiego, leży miejscowość o wymownej nazwie Mousehole, co po angielsku znaczy nic innego, jak Mysia Dziura. W 1777 roku umarła tu Dolly Pentreath, ostatnia osoba mówiąca po kornwalijsku. Tak mówi kronikarski zapissek. W rzeczywistości prawie żaden język nie wygasa od razu do szczętu. Trzydzieści lat później w innej małej miejscowości, na pruskich Mazurach, przyszedł na świat Christian Lach, znany potem jako Krystyn Lach-Szyrma - polski literat, który w dobie Wielkiej Emigracji osiedlił się na angielskiej wyspie. Jego syn Władysław, zanim został długoletnim prezesem Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie, mieszkał jako pastor w Penzance, miasteczku leżącym niedaleko Mousehole. Otóż właśnie wielebny ojciec Lach-Szyrma spotykał tam osoby potrafiące jeszcze po kornwalijsku doliczyć do dwudziestu. Było to około 1870 roku.

Na świadectwo pastora powoływali się później angielscy lingwiści. Dzisiaj gdzieś w Kornwalii próbuje się ożywić ten język. Ludzie uczą się go na prywatnych kursach, próbują rozmawiać między sobą po kornwalijsku, wydają kornwalijskie książki i czasopisma.

Przenieśmy się teraz na inny półwysep. Plaże śródziemnomorskiej Istrii nie przypominają niegościnnych skał smaganej sztormami Kornwalii. To klasyczne miejsce krzyżowania się cywilizacji: używając porównania z dziedziny architektury można określić je mianem kulturowego zwornika. W „Cosmographii” Sebastiana Munstera jest rycina przedstawiająca nasz kontynent jako - kobietę Istria leży tam pod prawą pachą Pani Europy. Niemiecki burg rycerzy-rozbójników, gotycki kościół z wymalowanym w jego wnętrzu ponurym Tańcem śmierci, sąsiadują w tej nadadriatyckiej krainie ze słonecznym renesansem i barokiem Italii. Słowiańskie wioski w dolinach przyglądają się halom, zasiedlonym kiedyś przez wołoskich pasterzy. Góry stykają się tu z morzem. Górami, czyli od strony lądu przybywali tu zawsze obcy: najeźdźcy i osadnicy. Wąskie zatoki pozostawały domeną Dalmatów, barwnego ludu „Mediterranum” żyjącego z rybołówstwa - i przede wszystkim z piractwa.

Metryka zgonu języka dalmatyńskiego jest również dość konkretna. Pod koniec ubiegłego stulecia uchodził on już martwą, jednak wścibscy lingwiści odkryli na wyspie Veglia (po chorwacku Krk) sędziwego kamieniarza, który indagowany przypomniał sobie słowa, jakich przed dwudziestu laty używali jego rodzice. Szło to jednak opornie, ponieważ stary Tone Udina był już głuchy i bezzębny. Ostatni Dalmata mówiący we własnym języku przeniósł się zresztą niebawem do wieczności, rozszarpany przez minę zakładaną pod marmurową skałą. Było to w roku 1895.

Jednak małe światy zazwyczaj odchodzą nie pozostawiając po sobie nawet świadectwa zgonu. Zresztą czy niemy znak jest w stanie powiedzieć prawdę o życiu ludzi, których już nie ma?

W głębi mazurskich lasów leżała kiedyś wioska Sowiróg jak tysiące podobnych miejsc, otoczona była niewidzialnym kręgiem chroniącym przed wszechogarniającą monotonią nowych czasów. W odróżnieniu od innych, świat Sowirogu nie przepadł w niepamięci - ocalał w literackiej wizji Ernsta Wiecherta; mimo, że „Dzieci Jerominów” to książka napisana przed półwieczem, właśnie ostatnimi laty mieszkańcy wielkich, hałaśliwych miast częściej sięgają po jej polski przekład. Niektórzy z nich wyruszają w drogę by odnaleźć miejsce, o którym czytali.

Ale Sowirogu już nie ma, pozostał tylko las. Czytelnicy błądzą po uroczysku, próbują znaleźć ślady zburzonych i rozebranych zabudowań, zbierają okruchy cegieł, odłamki dachówek i , gospodarskiej ceramiki. Jeden z tropicieli trafił nawet na żeliwną tabliczkę z numerem "73". To wszystko.

Jednak gdyby wieś nadal istniała, nie odnaleźlibyśmy Wiechertowskiego Sowirogu. Niewidzialne kręgi pękają pod ciśnieniem czasu. Zmieniłaby się wioska, zmieniliby się jej mieszkańcy. Odmienieni jesteśmy i my sami. Kto raz opuści zaklęty krąg małego świata, ten nigdy, prawie nigdy do niego nie powraca. Jak upiór przed święconą kredą, staje przed inną,



nieprzekraczalną granicą która nie biegnie przez las, ani przez pola - lecz tkwi, jak drzazga w jego mózgu. Wzrusza więc ramionami, wsiada do samochodu i wraca do domu, by na salonowych regałach ustawiać zestrachane figury wiejskich świątków, ukradzione z ostatnich przy drożnych kapliczek.

Jednak niektórym z nas potrzebne są takie podróże. Nie chodzi o to, by wskrzeszać umarłe wioski. W Mysiej Dziurze nie ma już Dolly Pentreath. Po Sowirogu nie pozostał nawet ślad. Wyruszamy do miejsc, ukrytych za zasłoną horyzontu, by po powrocie móc odnaleźć je w sobie. Odnaleźć lub zbudować od nowa.

Ten i inne eseje znajdują się w książce Jacka Borkowicza „Powrót do Sowirogu”.

Dziękujemy autorowi za zgodę na przedruk.